

# Agata Tuszyńska

---

## Kazimierz Brandys (1916-2000)

---

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 3, 233-236

---

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## WSPOMNIENIA – BIOGRAFIE

---

### KAZIMIERZ BRANDYS

(1916–2000)

Warszawa, lipiec 1999

Kochany Panie Kazimierzu,

Od dawna winna jestem Panu list. Winna jestem go również sobie.

Znałam Pańskie nazwisko z grzbietów Pańskich książek, których w moim domu ciągle przybywało, a Pańską twarz z podręczników historii literatury i z prasy, ale na majowych kiermaszach książki pod Pałacem Kultury nie zabiegałam o Pański autograf. Był Pan dla mnie bardziej symbolem polskiego pisarza niż pisarzem rzeczywistym. Zaczęłam Pana czytać gdzieś w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Miał Pan już za sobą ponad trzydzieści lat literackiego rzemiosła.

Wiele lat później okazało się, że przez nasze życie przewijają się ci sami ludzie. W mój świat wkraczali zwykle później i w innych rolach. O Hilarym Koprowskim, Pańskim koledze z gimnazjum Reja, z którym dzielił Pan pasje literackie, dziś wybitnym uczonym, napisałam książkę. Podobnie o Irenie Krzywickiej, emancypantce z obowiązkowym *lorgnon*, zapamiętanej przez Pana jeszcze z przedwojennej widowni Teatru Polskiego, i do końca z Panem zaprzyjaźnionej. Ze mną stykali się już inni, starsi, ale ta uparta powtarzalność każe mi wierzyć w jakiś wyższy porządek rzeczy.

„Dzieli nas różnica lat...” — pisał Pan do pani Z. Powtarzam to dziś w odwróconej sekwencji i wiem, że to jeden z powodów mojego do Pana przywiązania. Piszę ten list od lat, od pierwszej mojej wizyty na rue François Miron w lipcu 1988 roku. Pamiętam to uczucie, kiedy pierwszy raz odnalazłam przycisk z Pańskim nazwiskiem na tabliczce z nazwiskami lokatorów budynku pod numerem 22 w jednej z najstarszych paryskich dzielnic, Le Marais. Pamiętam dlatego, że towarzyszy mi odtąd stale. Jest to pomieszanie radości i niepokoju, niecierpliwego oczekiwania na realizację marzenia, i lęku, że się dopełni. W drodze próbowałam znaleźć u bukinistów jakiś tom Słowackiego, jego pokaźnych rozmiarów portret wisiał w Pańskim mieszkaniu, choć wtedy o tym jeszcze nie wiedziałam. A potem przebiegłam przez plac przed ratuszem, gdzie przez wieki wieszano i ścinano skazańców, a heretyków palono na stosach i starałam się dotrzeć na François Miron przez zatłoczoną ulicę Rivoli. Nie znałam jeszcze wówczas przejścia na skróty obok gotyckiego kościoła St. Gervais. Zastanawialiśmy się potem, czy znał go Mickiewicz, z Towiańskim spotykał się na mistyczne modły po przeciwnej stronie Sekwany, w kościele St. Severin.

Nie czułam zdziwienia, że jest Pan w Paryżu, choć to Warszawa była Pańskim miastem, a o decyzji jej opuszczenia wyrażał się Pan zawsze z najwyższą niechęcią. Jeszcze w 1982 roku pisał Pan: „Przypuszczenie, że mógłbym nie wrócić, powoduje rodzaj psychicznych mdłości”. Pańska dusza mieszkała gdzieś w okolicach Rynku, a zakłeta była nie tylko w Pana rzeczywistości, ale i literackim świecie. Warszawa rosła Panu w legendę, odkąd zobaczył ją po Pan raz pierwszy. Był rok 1922. Zapamiętał Pan pomnik Mickiewicza właśnie, na Krakowskim Przedmieściu, i odkryty jak kawiarniana weranda tramwaj konny na Nowym Świecie. Tęsknotę łodzianina za Warszawą analizował Pan wiele lat później jako potrzebę osiągnięcia wyższego stopnia wtajemniczenia i porównywał ją Pan z marzeniem innych o Paryżu lub Rzymie.

Dużo wtedy o tym myślałam. Nie umiałam — rodowita warszawianka — wydobyć z siebie podobnych uczuć. Nie rozumiałam Pańskiej czułości dla Belwederu, Alei Ujazdowskich, Teatru Polskiego, dla Żoliborza (jako świątopoglądu i obyczajowości), a potem kolejnych adresów na Lwowskiej, Narbutta, Nowomiejskiej. Tłumaczyłam to sobie nieznaną Warszawą przedwojenną, a powojenna wydawała mi się sztucznym tworem — okaleczonym i przebranym w obowiązujący uniform. To miasto nie mówiło do mnie. Było nieme. A dla Pana otwarte. Do Pana przemawiała każda ulica i kamienica. Ja nie potrafiłam zaludnić go wtedy postaciami z Prusa i Żeromskiego, z Singera i Gojawczyńskiej. Dla Pana Judym, Wokulski i Muskat byli jego mieszkańcami. Dopiero z czasem zaczęłam do dostrzegać, a jeszcze później odczuwać. Nie bez Pańskiego udziału.

Znowu kwitną lipy. Wtedy, za pierwszym razem, powiedział mi Pan, że przypominam mu jego dawną sympatię ze ślizgawki, dziewczynę z Doliny Szwajcarskiej, poruszającą się na łyżwach w takt walca z filmu „Monte Carlo”. Nie wspomniałam wówczas, że jestem wnuczką obozowego kolegi Pańskiego brata, Mariana. W Woldenbergu spędzili w jednym baraku pięć lat niewoli. Zachwył młodością, zachwył starością — czym są? Może odwrotną stroną tego samego pragnienia zgłębienia tajemnicy?

Nigdy nie byłam w Pańskim domu na Nowomiejskiej, może dlatego łatwo mi było wyznaczyć Panu — we mnie samej — miejsce przy stole na François Miron. Bardziej niż cokolwiek innego, ten stół był dla mnie jednoznacznym punktem odniesienia. Nie widok z okna, lecz kartka papieru, mozolnie wypełniana słowami. Sam otworzył Pan drzwi do swego pokoju, pozwolił czytelnikom „Miesiący” śledzić każdy ruch Pańskiego pióra i myśli. Przez dziesięć lat lepił Pan ów dziennik powieściowy lub też powieść w formie dziennika ze strzępów codzienności, fabuły i listów, dopuszczając do poufałości każdego, kto sięgał po tę książkę, w tym także i mnie. Trudno potem odmówić odpowiedzi na kłopotliwe pytania. Wiem, że starają się zrozumieć drogę, jaką Pan przebył od ostatniej ukończonej w kraju powieści do wyznania w jednym z ostatnich wywiadów — „Jestem z zaboru francuskiego i mieszkam w Paryżu”. Pomiędzy tymi datami stanął kalendarz blisko stu dwudziestu miesięcy rozrachunków z polskością w wielu jej wariantach i przejawach.

We mnie nie było na ten temat zdziwienia. Wiem i rozumiem, że wewnętrzny ład, jeżeli takowy istnieje, nadaje Panu pisanie i tylko pisanie. Przed 13 grudnia 1981 prawdziwe życie, to, w którym chciał Pan uczestniczyć, działało się dla Pana w Polsce — w „żywności niedosytu”, jak Pan to określił, „czasem dość owocnej”. Zwierzył się Pan kiedyś, że już po ośmiu dniach od wyjazdu wiedział Pan, że nie wróci. A cztery lata później pisał Pan do przyjaciół w kraju: „W gruncie rzeczy ojczyzna sprowadza się do kilkunastu osób plus historia i język. Reszta się śni”.

W 1986 roku podczas pobytu w Paryżu Tadeusz Konwicki zapytał Pana: „A jak z pisananiem? Czy ty się ma gaz?” „Nie wiem — odpowiedział Pan. — Tutaj się ma poczucie obnażenia losu.”

Nieznanne mi są niepokoje „emigrozy”. Nie stanęłam nigdy na dobre przed koniecznością wyboru — bycia tu czy tam. Wybrałam rolę podróżnika, łatwiejszą, bo mniej ostateczną, najeżoną niebezpieczeństwami przychodzącymi z zewnątrz, a z tymi prościej się uporać. Podróżuję. Mapa świata jest dla mnie mapą ludzi. Jeden z ważniejszych duchowych przystanków znalazłam przy François Miron.

Nasze spotkania bywały długie. Ale kiedy wychodząc zamykałam za sobą drzwi, miałam pewność, że rozmowa jeszcze się nie skończyła, że jest jeszcze coś ważnego, czego sobie nie powiedzieliśmy. Musiało pozostać niepowiedziane, bo prowadziło do następnych wizyt. Zwykle w Paryżu, a od kilku lat również w podwarszawskich Oborach i Konstancinie. Często w drodze z lotniska lub na lotnisko, między samolotami za ocean. Raz zdarzyło mi się przyjechać autostopem do Mentony, na południe Francji, by zjeść z Panem obiad nad brzegiem Morza Śródziemnego.

Przez ostatnie lata długo Pan chorował. Po operacji brzucha w paryskim szpitalu Saint-Jean-de-Dieu jesienią 1995 roku nastąpiła infekcja i krwotok. Kolejne dwa miesiące nie odzyskiwał Pan przytomności. Dopytywaliśmy o Pana z lękiem, nie do końca zdając sobie sprawę, jak daleko Pan odszedł i co się właściwie z Panem dzieje. W końcu nastąpiło przesilenie. Komunikaty informowały o pierwszych słowach i pierwszych krokach, a potem postępach w powrocie z bezładnej wyspy choroby. Chorował Pan dramatycznie i żmudnie. Przez następne dwa lata trafił Pan do szpitala jeszcze pięć razy. Przedtem, mniej doświadczony, porównywał Pan chorobę z wybuchem wojny. Teraz nie skarżył się Pan.

Odwiedziłam Pana raz w klinice Saint-Maurice w Charenton. Był Pan słaby i apatyczny, z trudem próbujący śledzić moje nienaturalnie długie, nerwowe monologi o świecie z szpitalnego plotu. Wydawał mi się Pan szczególnie zatrzaśnięty w sobie. Ale lekarze twierdzili, że wszystko jest na dobrej drodze. Nie mówiliśmy o literaturze. Potem też nie. Z czasem zaczął Pan opowiadać swoje sny. Przypominały widzenia Witkacego po zażyciu peyotlu. Jego kolczatki — gryzonie, pokryte futerkiem o podwójnie rozwidlających się włosach przywodziły na myśl Pańskie egzotyczne zwierzątka: krzyżówki jaszczurek z kolibrami, na jakie w Pańskim śnie zapanowała moda w Warszawie.

— Czy Pan pisze? — pierwszy raz ośmieliłam się zadać Panu to pytanie w Konstancinie latem 1997 roku. A może brzmiało: — Dlaczego Pan nie pisze? Odpowiedział Pan tonem zniecierpliwionym, jakby z wyrzutem lub skargą: — A czy ja już do końca, już zawsze muszę pisać?

Nie umiałam wtedy tej odpowiedzi w pełni zrozumieć. — Nie — powiedziałam. — Tak — pomyślałam, sam Pan nas przecież do tego przyzwyczaił.

Choroba pozostawała dla mnie zawsze w sferze imaginacji. Nie tylko dlatego, że w poważnej i godnej tego miana formie nigdy mnie nie dotyczyła. W mojej zuchwałości wydawało mi się, że zawsze będę umiała się z nią zmierzyć. Od dziecka bez trudu nauczyłam się zwalczać anginy, zapalenia migdałków, gorączki, dla porządku jedynie pozostając w łóżku tyle tylko, by nasycić się kilkoma ulubionymi książkami. Wiele lat później przeczytałam, że w młodości i Pan przejmował się bardziej dramatycznymi powikłaniami losów wymyślonych bohaterów niż kłopotami własnej rodziny.

I nam, dwa pokolenia później, zdarzało się w lekturach zatracić. Choroba pomagała w tym, zwalniając z obowiązku szkoły, a potem chwilami i życia, dając w zamian lekarstwo — nagrodę fikcji, o ileż słodszą niż konieczność dawania sobie rady z klasówkami codzienności. Wiedziałam, że to gra, rodzaj niezasłużonych wagarów. W miarę upływu lat coraz rzadziej mogłam sobie na nie pozwolić. Dorosłość wykulczyła chorobę ze sfery zdarzeń możliwych.

A jeśli... zawsze udawało mi się ją zwalczyć siłą woli. Siła woli to było słowo-klucz pozwalające unieszkodliwić każdą przypadłość. Dopiero z czasem zaczęłam zdawać sobie sprawę z udziału w określeniu „siła woli” — składnika „siły”.

Ostatniego lata, w konstancińskiej kawiarni Buchmana, był Pan ożywiony, niemal radosny. Nie musiałam pytać, co się stało. Rósł rękopis. Utrzymuje Pan, że tytuł „Przypadki Robinsona” był przypadkowy. Nie całkiem w to wierzę. Zbyt wiele w nim luster. Znalazł się Pan na kolejnej wyspie, innego niż geograficzne wygnania. Tam oswojenie samotności okazało się jeszcze trudniejsze.

Dotychczas leczył ją Pan tworząc fabuły. Nie umiał Pan funkcjonować bez odpowiedniej dawki słów. Jeden z Pańskich bohaterów, nazwiskiem *nomen omen* Kruzoe, zaspokajał swoją potrzebę fikcji wymyślaniem dla amerykańskich studentów nierzeczywistej historii polskiej literatury. Pan tworzył prozę własną. Zaczęło się w szkole, kiedy na lekcji polskiego w klasie wstępnej „przeczytał” Pan z zeszytu nieistniejące wypracowanie „O kóźce”. Czar trwał, dopóki kolega przypadkiem nie zerknął w pusty zeszyt. „Proszę pana! Tam nie ma nic napisane!” — krzyknął osłupiały do nauczyciela. Dostał Pan dwie dwójce, z polskiego i ze sprawowania. Nie pomogło. Z czasem konieczność wymyślania stała się cielesną potrzebą organizmu. Fabularyzowanie świata weszło w krew. Nie mógł Pan i nie chciał uwolnić się od tej zależności.

Jakiś czas temu przyśnił mi się trudny sen o własnej chorobie. Pamiętam z niego kolorowe światła dyskotekowej lampy nad operacyjnym stołem, ostatni szew błękitnej dratwy gdzieś w okolicy brzucha i późniejszą euforię gadulstwa we wszystkich znanych mi językach. A potem, prócz bólu, którego się spodziewałam i który był oczywistością, dojmujące było owo poczucie niemożności wydostania się z siebie ku światu. Zasupłana w kroplówki i rurki nie byłam w stanie pokonać bezwładu. I wtedy zobaczyłam Pańską twarz. — Słabość — szeptał Pan do mnie — sł-

bość, słabość. Po chwili odwrócił się Pan i odszedł paryską ulicą w płaszczu i ciemnym szaliku przerzuconym przez ramię.

Obudziłam się spadając z porośniętej ostem brunatnej skały.

Kończyłam lekturę „Przygód Robinsona”.

Mówi Pan, że napisał je dzięki swoim snom, narkotycznym majakom, zjawom, halucynacjom. Starożytni mieli je za boskie, gdyż powstawały z inspiracji duchów. Widziadła, wywołane środkami uśmierzającymi pozwalały Panu przetrwać w niedostępnym bólowi świetle. Nie tylko ubarwiały monotonię szpitalnych miesięcy w klinice Defence i przynosiły ulgę, ale również godnie zastępowały rzeczywistość. Broniły dostępu świadomości, sprawiając, iż nie zdażył się Pan rozgościć we własnym umieraniu.

Przetrwiał Pan niejako pod opieką fikcji. Kiedy znalazł się Pan w potrzebie, w odruchu wdzięczności starała się spłacić zaciągnięty dług. Owe sny traktuję jako wynagrodzenie za lata cierpliwej służby.

Na jawie, po przebudzeniu, nie umiał Pan ani mówić ani chodzić. Nauka trwała długo. Kinetoterapeuta stawiał Pana między dwiema równoległymi barierami. Czekał. Pańskie ciało potrzebowało podpórek i kul. Dusza także. I wtedy chwycił się Pan słów, zrazu nieświadomie, w marzeniu, a potem coraz pewniej i śmielej. Wydaje mi się, że nie był to już odruch bezwarunkowy, jak dawniej, ale wynik trudnej pracy i żelaznej dyscypliny. Siła woli, o której tyle zdarzyło mi się fantazjować, znalazła w Panu idealnego realizatora. Zaprzeczył Pan nie tylko prawom bólu, ale i czasu. Odwrócił wskazówki biologicznego zegara. Nie każdy ma odwagę podjąć taką walkę. I wygrać ją.

Uratowali Pana lekarze i niestrudzona obecność żony. Ale szybko sam stawał się Pan reżyserem własnego ocalenia. Po raz kolejny podjął Pan grę z nierzeczywistością. Kroił Pan z tego, co było pod ręką. Ze snów, wspomnień, listów, fragmentów zmyślonych, wyśnionych i przeżytych. Nie bez powodu nazywa się Pan sędziwym weteranem powieści. Jeszcze raz użył Pan zmyślenia jako niezbędnej korekty rzeczywistości.

Pierwsze napisane przez Pana zdanie równoznaczne było dla mnie z okrzykiem lekarza w najbardziej krytycznym stadium Pańskiej choroby: „Będzie żył!”

Podziwiałam Pana wtedy. Podziwiam czytając „Przygody Robinsona”. Są wielką lekcją pokory. Są również lekcją wierności we wspólnym losie do końca, a nawet dłużej.

Dawno temu nauczył mnie Pan, jak nauczył każdą swoją czytelniczkę, jak być kochaną. Teraz nauczył Pan jeszcze czegoś więcej.

List, aby coś znaczył, powinien być krótki. Spieszę się teraz, aby wrócić do Pańskich ksiązek. Przed tym spotkaniem obłożyłam się nimi od nowa. Jeszcze raz spacerowałam z Panem po ścieżkach parku dzieciństwa na stronicach „Małej Księgi”. Dziwne, nie tak wyobrażałam sobie Pański rodzinny dom i Pańskie najwcześniejsze wspomnienia, ale uświadamiam to sobie dopiero teraz. Razem z Panem stoję jak sparaliżowana na Krakowskim Przedmieściu — po drugiej stronie, tuż za uniwersytecką bramą, korporanckie bojówki biją studentów-Żydów. Jestem świadkiem — jednak szkoda, że tylko świadkiem — na Pańskim ślubie w podwarszawskim Emilinie, ubrany jest Pan odświętnie, w pożyczoną koszulę. Rozstajemy się. Na krótko. Potem — już sławny i tłumaczony, wyjeżdża Pan na zachód Europy, a mnie zjada zazdrość o tę szantrapę, panią Z.

Oklaskuję Pana na kolejnych premierach: w STS-ie, gdzie Andrzej Łapicki nie gra, ale żyje jako bohater „Sposobu bycia”, potem w nieistniejącym już dziś kinie „Moskwa”, na filmie pod tym samym tytułem. Razem z Panem — przepraszam, razem z autorem ostatniego listu „Wariacji pocztowych” unoszę rękę na peronie Dworca Gdańskiego, żegnając...

Przyzwyczaił Pan nas do swoich opowieści. Wydaje się, że ich zapas jest niewyczerpany, a Pańskie siły — niezmożone. Czekam na Pańskie książki. Nowe książki. Proszę pamiętać, że pisarze żyją wiecznie, a Panu w niebiańskim paszporcie w rubryce „zawód” wpisano właśnie to słowo: pisarz.

Agata Tuszyńska (Warszawa)